

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



DOŚWIADCZENIE FIZYCZNE.

Czy wiecie, co to są półkule magdeburskie? Każdy, kto uczył się, choćby początków tylko fizyki, zasłyszeć o nich musiał. O tem, że powietrze jest ciężkie, dowiedzieli się ludzie niezbyt dawno. Dowodem dotykalmym stwierdził to prawo przyrody dopiero w XVII wieku wynalazca barometru, uczony Włoch z Florencyi Torricelli. Najdawniejszy

barometr rtęciowy, teraz bowiem robią już zwykle całkiem inne, był urządzony, jak następuje. Rurka szklana, szczelnie z jednego końca zamknięta, wypełniona rtęcią, ustawiała się sztorcem, końcem otwartym, w miseczce, zawierającej także trochę rtęci. Zdawałoby się, że rtęć z rurki powinna by wszystka przejść do owego zbiornika w miseczce, nic jej na pozor w tem nie przeszkadza, komunikacja otwarta. Tymczasem dzieje się inaczej, część tylko rtęci osuwa się z rurki do miseczki, zawsze pozostaje w niej słup, którego wysokość zmienia się stosownie do pory. Gdy powietrze zawiera w sobie znaczną ilość wilgoci, to jest pary wodnej, słup rtęci staje się krótszy, mówimy tedy, że barometr spada i spodziewamy się deszczu. Gdy znów powietrze jest bardzo suche, rtęć podnosi się w barometrze i zapowiada pogodę. Nie zawsze wprawdzie przepowiednie te się sprawdzają, bo bywają i inne powody spadania i podnoszenia się barometru, ale zawsze zjawiska te oznaczają z całą pewnością większy lub mniejszy ciężar powietrza. Wilgotne bywa zwykle lżejsze, suche cięższe.

Jakimże sposobem rtęć w rurce może to wskazywać tak dokładnie? Oto bowiem u góry téj rurki, ponad słupem rtęci, powietrza wcale nie ma, rtęć je wypchnęła, a gdy opadła następnie, powietrze przez szkło dostać się tam już nie mogło. I stało się tak, jakgdyby krążek drewniany, mający okrągły otwór po środku, przycisnął jakąś masę miękką, ciasto na przykład, lub coś sypkiego, jak piasek. Krążek ciężarem swoim osunął wszędzie ciasto czy piasek na dół,

lecz przez otworek środkowy precyzyjnie się mała cząstka i sterczy, jak kupka, jeśli krążek odejmiemy. Tak samo w barometrze sterczy w rurce słupki rtęci, bo ciężka atmosfera przyciska ją dokoła w miseczce, ale rurka u góry jest wypowietrzona, więc ztamtąd żadnego nacisku niema.

Wkrótce po Torricellim pewien uczony burmistrz z Magdeburga chciał wykazać innem doświadczeniem ciężar atmosfery. Kazał zrobić dwie półkule metalowe, szczelnie i dokładnie do siebie przylegające, tak, że razem tworzyły kulę okrągłą. Z kuli tej za pomocą pompki wyciągnął o ile tylko się dało powietrze, ażeby była próżna we środku. I otóż wówczas tej kuli, chociaż obie jej połowy nie były wcale sklezione lub spojone z sobą w żaden inny sposób, niepodobna było rozdzielić. Ciągnęli je za ucha, umyślnie w tym celu dorobione, najsilniejsi ludzie, wreszcie burmistrz kazał zaprzęgać do każdej półkuli silnego konia, a jednak, jeżeli tylko półkule starannie wprzód były wypowietrzane, i konie nie mogły im dać rady.

Łatwo zrozumieć przyczynę tego zjawiska: atmosfera całą swoją potężną siłą ciśnie w takim razie na zewnętrzną stronę każdej półkuli, przyciskając je do siebie, a ponieważ wewnątrz są próżne, więc ztamtąd nic temu nie przeszkadza. Gdyby we środku mieściło się toż samo powietrze, tedy, jako gaz ruchliwy, układając się do równowagi, ciśnienie wewnętrzne odpychałoby w mierze stosownej zewnętrzne. Dlatego to właśnie olbrzymi ciężar atmosfery nas nie przygniata do ziemi, wcale go nawet nie czujemy, że ciało nasze ma w sobie niepoliczony mnóstwo otworków, porów, wypełnionych powietrzem, całe więc przesycone jest tem powietrzem i pływa w niem niejako swobodnie, utrzymując się tym sposobem w doskonałej równowadze.

Trzeba wiedzieć, że owe słynne półkule magdeburskie i teraz jeszcze bywają używane przy wykładach fizyki, jako wyjaśniające wybornie zjawisko ciężaru atmosfery. Mnóstwo jest jednak i innych przyrządów tego rodzaju, a rysunek nasz podaje sposób urządzenia czegoś podobnego bez żadnego kosztu i kłopotu z takich przedmiotów, które się znajdują w każdym domu. Bierze się dwie szklanki, w jednej ustawia się na dnie kawałek świecy zapalonej, po chwili przykrywa się ją kawałkiem grubego pakowego papieru, zwilżonego cokolwiek wodą, zwierchu stawia się, przyciskając szczelnie, druga szklanka dnem do góry, jak wskazuje rycina. Świeca wkrótce dla braku tlenu gaśnie, lecz podczas palenia rozrzedziło się znacznie powietrze w tej szklance i utraciło wiele ciężaru. Jeżeli doświadczenie starannie było wykonane, obie szklanki powinny tak szczelnie przylegać do siebie, jakgdyby były sklezione, można wierzchnią podnieść, a druga nie opadnie, trzyma się doskonale. Trzeba pamiętać, ażeby papierem przykryć szklankę po pewnym dopiero przeciągu czasu, gdy powietrze w niej dobrze się od płomienia świecy rozgrzeje i tem samem rozrzedzi.

KSIĘGA PAMIĘTNYCH CZYNÓW.

Przed stu laty, wkrótce po wyswobodzeniu Stanów Zjednoczonych amerykańskich z pod panowania Anglików, w prowincyi Nowej Anglii przypadło całkowite zaćmienie słońca. Okoliczności tak zrzędziły, że właśnie dnia tego

i o tej porze odbywało się posiedzenie ciała prawodawczego w mieście Konektikut. Zasiadający tam członkowie zarządu byli to po większej części ludzie prości, pozbawieni wyższej oświaty, nie rozumieli więc znaczenia tego astronomicznego zjawiska. Gdy nagle, niespodzianie zaległy ciemności, przerażenie ogarnęło wszystkich, zrywali się z miejsc swoich, wołając, iż koniec świata chyba ma nastąpić. A wtem jeden z członków, nazwiskiem Davenport, odważył się głosem spokojnym do przestraszonych towarzyszy:

— Moi panowie, gdyby w rzeczy samej miał być koniec świata, gdybyśmy w tej chwili mieli oczekiwać sądu ostatecznego, powinniśmy tembardziej wytrwać na stanowiskach, aby sędzia najwyższy zastał nas przy spełnianiu obowiązków naszych. Wszak lepiej nie możemy się przygotować do tej ważnej chwili. Ja zatem radzę, aby podano światło i abyśmy dalej ciągnęli nasze narady.

Rozsądne te słowa trafiły do przekonania całego zgromadzenia, trwoga ustała, zapalono świece i najspokojniej ukończono rozpoczęte czynności. Nie potrzebujemy tłumaczyć czytelnikom naszym, że przerażenie tych ludzi było śmieszne, podało jednak sposobność człowiekowi wyższego i męznego ducha wypowiedzenia bardzo pięknego zdania, mianowicie: iż niczego lękać się nie potrzebujemy, nawet i śmierci, jeśli tylko świećcie i wytrwale spełniamy swoje obowiązki.

BRAT OCIEMNIAŁY

Powieść

Homera Green'a

uwieczniona nagrodą 1500 dolarów w Nowym Yorku.

przetłumaczył z angielskiego

HENRYK WERNIC.

(Dalszy ciąg).

Na te słowa lampa wypadła z rąk Jakóba, wydając przenikliwą, niemiłą woń. Olbrzym jakby oniemiał, nie wiedział, gdzie się znajduje i co się z nim dzieje; widocznie ciężką ze sobą staczał walkę. Wreszcie powstał, podniósł lampę i rzekł:

— Muszę już odejść, bądź zdrów, chłopcze, do widzenia; czy na pewno brat twój przyjdzie po ciebie?

— Przyjdzie — odrzekł Benjamin — zawsze po mnie przychodzi.

Po tej odpowiedzi Jakób się oddalił, ale po chwili znów wrócił.

— Gdzież twoja lampa? czy nie masz światła?

— Nigdy nie noszę lampy, mógłbym się poparzyć.

Jakób znów odszedł, ale po chwili ponownie zbliżył się do Benjamin.

— Mówiłeś mi, że chcesz udać się do Filadelfii, że chcesz leczyć się na oczy, ale nie masz pieniędzy. Dam ci potrzebne na to pieniądze, bo znałem twój ojca.

Benjamin nie zdążył jeszcze za to podziękować, kiedy olbrzym zbliżył swą szorstką twarz do twarzy chłopczyny, pocałował go w czoło i szybkim odszedł krokiem.

Przez chwilę Benjamin przysłuchiwał się odgłosowi oddalających się kroków, a kiedy wszystko ucichło, rozmyślał o tym dziwnym człowieku i współczuciu, jakie mu okazywał; lecz im dłużej się zastanawiał, tem większą było to dla niego zagadką. Wreszcie postanowił zapytać się Tomasza, może on mu to objaśni. Cekał tak jeszcze czas niejaki pogrążony w dumanie, wtem nagle zastanowił się, że musi być już bardzo późno, a Tomasz nie przybywa. Dziwił się, że dnia tego robotnicy prędzej niż zwykle wyszli z kopalni, ale przypuszczał, że Tomasz jeszcze tam być musi. Powstał tedy,

postąpił kilka kroków naprzód, po chwili wszakże się zawrócił i udał się w głąb kopalni. Jednakże wkrótce znów się zbliżył do wrót i usiadł na ławie. Był przekonany, że niebawem przyjdzie po niego Tomasz.

Siedział tak całą godzinę pośród grobowej ciszy, nieprzerwanąj najmniejszym szelestem. Widocznie wszyscy musieli już opuścić kopalnię. Zupełnie się już wyczerpała jego cierpliwość, a nieznośna cisza do reszty go zdenerwowała. Postanowił tedy spróbować, czy nie uda mu się wyjść przy pomocy swego kija; przypomniał sobie, że kiedy raz Tomasz był chory, sam wyszedł z kopalni; dla czegoż więc toż samo teraz udaćby mu się nie miało?

Zamknawszy wrota wziął w rękę koszyk z naczyniami obiadowemi, a macając kijem po ścianach korytarza, szedł w kierunku wyjścia. W drodze od czasu do czasu zatrzymywał się, nadstawiając ucha, czy nie usłyszy jakiego stąpania, ale napróżno, wszędzie zaległa cisza, szedł więc coraz dalej. Sądził, że powinien się już znajdować w pobliżu wyjścia, ale ogarnęło go wielkie znużenie; usiadł na szynach, aby wypocząć. Spoczywał niedługo, a nie mogąc znieść téj strasznej ciszy, powstał, aby iść dalej. Poznał teraz, że grunt, po którym stapał, nieznacznie się podnosił. Wtem, potknąwszy się o jakąś leżącą bryłę, tak nieszcześliwie upadł, że aż bok go zabolął; zatrzymał się na chwilę, wreszcie znów poszedł dalej. Był już teraz ostrożniejszy, postępował zwolna, podnosił wysoko nogi, macając drogę kijem.

Po niejakiem czasie zdawało mu się, że się znajduje w zupełnie nieznanem miejscu. Z obu stron nie mógł się dotknąć kijem żadnej ściany. Teraz był pewny, że nie znajduje się w korytarzu, prowadzącym do wyjścia, bo korytarz w żadnem miejscu nie był tak szeroki, ale pomimo tego dalej postępował. Po chwili przekonał się, że droga, którą szedł, coraz bardziej była spadzista. Odgłos jego kroków mniej był przytłumiony, musiał się przeto znajdować w miejscu bardzo przestronnem, bo dotknął kijem o jakąś poręcz. Przypuszczał, że jest to obszerna komora, z której wydobywano węgle. Widocznie się zablakał. Strapiony tą myślą i osłabiony znużeniem, usiadł na ziemi, rozważając, co czynić dalej.

Przyszło mu na myśl, że z korytarza, prowadzącego do wyjścia, wchodziło się na prawo do galeryi, wiodącej do południowej części kopalni, zupełnie jemu nieznanéj, być może więc, że teraz znajdował się w téj galeryi i to w znacznej odległości od jej początku. Nie wiedział, co począć, czy dalej postępować, czy zawrócić.

— Może lepiej — myślał sobie — pozostać tu, gdzie jestem. Ale czy znajdzie mnie Tomasz? może pójdzie do wrót, a nie zastawszy mnie tam, pomyśli, że jestem w domu i wyjdzie z kopalni.

Myśl ta, że Tomasz może go szuka, tak utkwiała mu w głowie, że pomimowolnie zaczął krzyczeć z całej siły:

— Tomasz, Tomasz!

Tysiączne echa odbiły się po korytarzach, galeryach, komorach, a zlewając się w jeden dziwny chaos, sprawiały wrażenie ogłuszającego grzmotu; chłopiec sam się przestraszył swojego głosu.

Po chwili znów głucho milczenie zaległo całe podziemie, a przynębiająca cisza dozwalała mu słyszeć niemal tętno swego serca. Tego dłużej już znieść nie mógł. Powstał, pochwycił kij i szedł dalej, potykając się o kamienne bryły. Wreszcie sił mu zabrakło; usiadł więc na ziemi, a zakrywając twarz rękoma, zaczął gorzko płakać i narzekać. Sądził, iż przyjdzie mu tu umrzeć, któż bowiem zdoła go odszukać w tem podziemiu, w którem znajduje się tyle korytarzy, galeryj, komór i zaułków?

ROZDZIAŁ II.

P ó z a r.

Przez długi czas jeszcze pozostawał Benjamin na tem samem miejscu, płacząc i wyrzekając na swą dolę. Wtem

nagle usłyszał jakiś oddalony szelest; podniósł głowę, aby lepiej słyszeć i wkrótce przekonał się, że pochodził on od stóp ludzkich. Daj Boże, żeby to był Tomasz, pomyślał sobie, a nadzieja zawitała do jego serca.

Ale niestety, szelest wkrótce ucichł i znów dawna cisza zaległa dokoła, a przestach i uczucie samotności ponownie opanowały jego duszę. Przypuszczał, że to, co przed chwilą słyszał, istniało tylko w jego wyobraźni. Wtem nagle odbiło się w podziemiu echem jego imię; podskoczył z miejsca, na którem siedział, i z całej siły zaczął wołać: „Tomaszu! Zanim przebrzmiało echo wzbudzone jego wołaniem, dał się słyszeć odgłos kroków biegnącego Tomasza, a po chwili ręce obu braci splotły się we wzajemnym uścisku.

— Przebacz mi, Benjaminie, że cię tu zostawiłem — zawołał Tomasz. — Kiedy byłem w stajni, powiedział mi Donnelly, że Jerzy zabrał cię z sobą; lecz dowiedziawszy się w domu od matki, że ciebie niema, przybiegłem tu, aby cię odszukać. Nie zastawszy cię u wrót, zacząłem wołać, ale żadnej nie usłyszałem odpowiedzi; pomyślałem tedy, że może spróbowałeś wyjść po omacku i przez pomyłkę wszedłeś do téj galeryi.

Tomasz wymówił te słowa jednym tchem, a kiedy się zatrzymał, Benjamin dodał łkając:

— Tak jest, zbląkałem się, myślałem, że przyjdzie mi tu umrzeć! Ach, to okropne, Tomasz! Nie możesz wyobrazić sobie rozpacz, jaka mnie ogarnęła! — To mówiąc, konwulsyjnie ścisnął rękę brata, a usiadłszy na ziemi zanosił się od płaczu.

— Uspokój się, Benjaminie, uspokój — mówił z czułością Tomasz — wszak cię znalazłem. Chodźmy do domu, powstań, matka bardzo się niepokoi.

To powiedziawszy, dopomógł podnieść się bratu, objął go wół jedną ręką, a drugą trzymając za rękę, z największą ostrożnością prowadził przez galeryę i korytarz aż do wyjścia.

Zbliżywszy się do stóp pochyłości, wiodącej na powierzchnię ziemi, zatrzymali się chwilę dla wypoczynku, a wtedy Benjamin opowiedział rozmowę, jaką prowadził tego wieczora z nieznanym sobie człowiekiem. Tomasz nie mógł go w niczem objaśnić, powiedział tylko, że zapewne musi to być jeden z uczestników zmowy.

Spadzistość była tak przykra, iż Benjamin kilka razy w drodze musiał wypoczywać; wreszcie obaj bracia stanęli na powierzchni ziemi. Noc była piękna, jesienna, świeże powietrze orzeźwiło Benjaminą i dodało mu siły. W odległości widać było światła domostw, w których mieszkali górnicy, niebo pokrywały gwiazdy miliony, a na horyzoncie ukazywał się błyszczący sierp księżyca. Jakże piękna była ta okolica, nawet podczas nocy, w porównaniu z tą jednolitą, głęboką ciemnością, zalegającą podziemia.

— Ach! co bym dał za to — pomyślał Tomasz — żeby Benjamin mógł u'rzeć ten piękny widok!

Chłopcy wesołem znajdowali się usposobieniu, postępowali szybko, wkrótce też przebyli wiorstową odległość i stanęli w pobliżu swéj chaty.

— Znalazłem Benjaminą — zawołał Tomasz, ujrawszy z pagórka matkę, stojącą we drzwiach chaty.

Usłyszawszy głos syna, matka zbiegła na drogę, a zbliżywszy się do chłopców, pomimo pyłu węglowego, pokrywającego ich odzież i twarze, czule ich uściskała i ucałowała. poczem wszyscy troje wesoło dążyli do chaty. Tomasz, doszedłszy do drzwi chaty zatrzymał się i zawrócić.

— Obiecałem Jerzemu, że zawiadomię go o znalezieniu Benjaminą. Przyrzekł mi dopomódz w odszukaniu, gdybym go sam nie znalazł. Mieszka on ztąd niedaleko. Za dwadzieścia minut powrócę.

To rzekłszy, nie czekając na odpowiedź matki, bez względu na bardzo późną porę i głód, który mu dokuczał, podążył do chaty Jerzego. Z początku biegł szybko wzdłuż chat, stojących długim rzędem, poczem wstąpił na ścieżkę, prowadzącą do wielkiego budynku, mieszczącego w sobie skład węgla i tłocznią, służącą do rozdrabniania brył węgla na mniejsze kawałki. Budynek przy świetle księżyca rzucał

długi cień po stronie zachodniej. Tomasz postępował w jego cieniu około tej części, w której mieściła się maszyna parowa. W okopconem okienku ujrzał niewielki blask lampki stróża nocnego. Po chwili wszedł znów na ścieżkę oświetloną przez księżyc, wiodącą na szczyt drugiego pagórka, na którym stał drugi rząd chat, zamieszkałych przez górników. Zbliżywszy się do chaty, w której migotało światło, zatrzymał się chwilę; wtem ujrzał wychodzącego z niej człowieka, wołającego:

— Czy to ty, Tomasz, czy znalazłeś Benjamina?

— Znalazłem, zaprowadziłem go już do domu, chciał wyjść z kopalni po omacku, ale zabłąkał się w galerii. Chociaż nie potrzebuję już twojej pomocy, tak samo wdzięczny ci jestem, jakdybym jej potrzebował. Dobranoc ci, Jerzy.

— Dobranoc, Tomasz, bardzo się cieszę, że znalazłeś Benjamina.

(d. c. n.)

CÓRKA KORYOLANA,

obraz historyczny

przez Maryą Leonę.

OSOBY.

CAIUS MARTIUS CORIOLANUS.

VETURIA, jego matka.

VOLUMNIA, jego żona.

MARTIA, jego córka 14 do 15 lat.

MENENIUS AGRIPPA } senatorowie.

VALERIUS }

TITUS LARTIUS, jeden z wodzów z wojny przeciw Wolskom.

SICINIUS VETULUS } trybunowie.

JUNIUS BRUTUS }

TULLUS AUFIDIUS } wodzowie Wolsków.

ANCUS VEJANUS }

LUCIUS PENNATUS }

LARIA, piastunka Marcy.

NIEWOLNICA VOLUMNII *).

SENATOROWIE, EDYLE, LIKTOROWIE, WODZOWIE RZYMIAN I WOLSKÓW, LUD RZYMSKI, ŻOŁNIERZE RZYMSCY I WŁOSCY, NIEWOLNICY AUFIDIUSA.

AKT I.

Scena I.

(Forum romanum).

MENENIUSZ AGRYPPA, WALERYUSZ, SENATOROWIE, TRYBUNOWIE, EDYLE, TŁUM, UKRYTE W TŁUMIE ZA FILAKEM ŚWIĄTYNI MARCYA I LARYA.

MENENIUSZ AGRYPPA (do grupy senatorów).

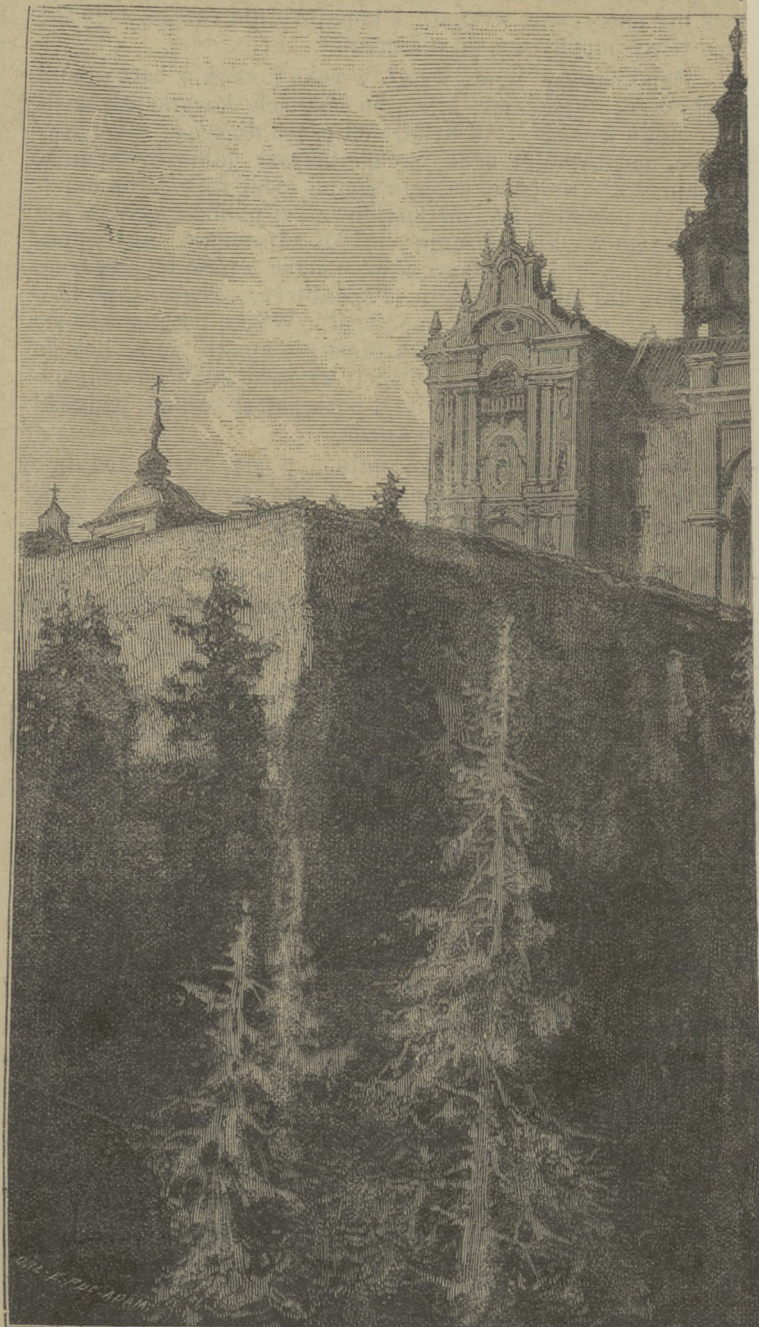
Muszą jego konsulem obrać... lud uparty, Lecz tak wprost się sprzeciwić życzeniu senatu, Kiedy idzie o męża tak zasłużonego...

SYCYNIUSZ (zbliża się żywo).

Lud głodny... Cóż po wojnach, co nic nie przynoszą?... Lud głodny... a niedawno Marcyusz wracał z łupem... Rozdał go przyjaciołom...

*) W tym spisie zachowaliśmy pisownią łacińską przy imionach własnych, w dalszym ciągu podajemy je spolszczone, według powszechnie przyjętego zwyczaju. (przyp. red.)

AGRYPPA.
Towarzyszom broni,
Zatrzymałże dla siebie choć jedną sestercję?
SYCYNIUSZ.
Ale jakimże prawem rozdał łup wojenny?
AGRYPPA.
Jakiem prawem pomocy lud odmówił Romie,
Gdy Roma zagrożoną była?... wy, piecuchy,



Kla

Wy, osobistych uraz języczni szermierze,
Kiedy was przeciw Wolskom słał senatu wyrok,
Toście woleli niewiast waszych słuchać gwary...

KTOŚ Z LUDU.

Trudnoż wlec się po wojnach, gdy żołądek pusty...

AGRYPPA.

Marcyusz sam z przyjaciołmi, z krewniakami swymi,
Z drużyną domowników dokonał wygranej;

A że ich wynagrodził... toć oni zdobyli
Ten łup swą krwią i trudem...

JUNIUSZ BRUTUS.

Tak, dla siebie żęli,
Wy zawsze tłómaczycie mieczem prawo swoje,
A lud, co życie traci pod pracy ciężarem, (głośniej).
Dla kogo lud się poci?



zki.

GŁOSY Z LUDU.

Lud dla patrycyuszów,

Lud żywi darmożjadów...

JEDEN Z SENATORÓW (trąca Agridppę w łokieć).

Bajka o żołądku...

LARYA.

Chodźmy! nieprzyzwicie młodemu dziewczęciu,
Ani zaczęj niewieście nigdy nie przystoi
Słuchać obrady mężów...

MARCYA.

O wielki mój ojcie!...

O biedna nasza Romo!... Jakiż lud twój ślepy!

LARYA.

Chodź, Marcyo — tyś już długo w domu nieobecna,
Volumnia się domyśli... będzie niespokojna...

MARCYA.

Idę... idę... do matki! (chcąc iść).

AGRYPPA.

Nie chcecie Marcyusza?

(z naciskiem).

Odrzucić Koryolana!...

MARCYA.

O Laryo! Agridppa,
Mądry Agridppa mówi! (wstrzymując się).

TYTUS LARCYUSZ.

Ja nie umiem prawić,
Alem mąż, alem żołnierz... Jakżeż Koryolana
Zrozumięją te nędzne, te trwożliwe tłumy,
Co byle wróg u bramy, kryją się w popłochu?...
Krzyk i ostrość języka, oto broń motłochu...
(krzyki w tłumie).

A czy który z was widział wkoło siebie kiedy
Mury wrogiego miasta — a pomocy żadnej?
Jam go widział w Koryoli, gdy sam weń się rzucił...

SENATOROWIE I KILKU Z LUDU.

Niech żyje nasz Koryolan!

BRUTUS.

Cicho! co czynicie?

SYCYNIUSZ.

Chcecie pasterzem obrać wilka krwiożerczego?...
Oj, będzie on was dusił!...

AGRYPPA.

Może kto pamięta?...

Może z jego żołnierzy jest kto między ludem,
Jak wtedy mu zdobyczy dano część dziesiątą,
A on nie tknął niczego, tylko przyjaciela
Wziętego jako jeńca z niewoli wyprosił...

MARCYA.

Dzielny!... drogi Agridppa!!

SYCYNIUSZ.

Lud trzeźwo patrzący

Nie da się otumanić czczych wyrazów brzmieniem,
Koryolan nagrodzony swem sławnem imieniem,
To mu wystarczyć winno... Zresztą nie dla Romy,
Nie dla braci on działa, lecz dla swojej matki —
Weturya lubi wieńce...

MARCYA.

Nędzny!

WALERYUSZ.

Dość!! Tu imię

Nie powinno rozbrzmiewać niewiasty szlachetnej —
Tu się mówi o mężach. Jęj imię nietknięte
Winno być jako święte penaty domowe.

GŁOS Z LUDU.

A nasze żony znoszą męczarnie głodowe!

INNY

A dziecię moje z nędzy poszło na złą drogę.

INNY.

Ja swoje utraciłem.

TYTUS LARCYUSZ (niecierpliwie)

Cóż tam Koryolana

Obchodzić ma ten nędzarz? Czyż jego istnienie
Mu wiadome?

BRUTUS.

Ciszéj, bracia! Koryolan jest wielki,
Koryolan nie żałował ni życia ni trudu,
Koryolan na przodowcę tego wyrósł ludu...
On cieszy się uznaniem wodzów patrycyatu —
Głów Romy... Dziś go tutaj wiodło pół senatu...
Jaki orszak wspaniały!.. Wraca świetność dawna,
Gdy królował Tarkwiniusz pomiędzy dworzany...

JEDEN Z LUDU.

Królowaćby się chciało!...

INNY.

Toż to zdrada jawna!

BRUTUS.

Ciszéj, obywatele!... On zwycięzca znany,
On senatu ozdoba, on możnych kochanie —
Nie ściągajcie ich gniewu...

GŁOSY Z LUDU.

Cóż to? tamowanie.

Swobód ludu? Cóż jeszcze? zabronią nam głosu?...

LARYA.

Marcy! chodźmy do domu, tyś blada i drżąca...

MARCYA.

Chodźmy, Laryo... Gniew ludu — to fala hucząca,
Ale nie straci męża... nie zwycięży losu,
Choćby całem swem błotem szaty mu zbryzgali,
Zawsze on będzie wielkim — oni zawsze mali —
(*po chwili*).

Przyszłam patrzeć na tryumf — i tryumf też widzę,
Bo czyż nienawiść tłuszczy bezdusznę i ciemną
Nie najlepszem świadectwem wyższości?... Och, wstydzę,
Wstydzę się, biedna Romo, twój działwy nikczemnej!
Och! jakaż przyszłość twoja?...

(*Larya z Marcją odchodzą*).

Scena II.

Ciż SAMI, oprócz MARCYI I LARYI.

BRUTUS.

Współobywatele!

Proszę o głos...

JEDEN Z EDYLÓW.

Chwileczkę.. słuchajcie Brutusa...

BRUTUS.

Dobną powiem nowinę: Gelon z Syrakuzy
Przysłał miastu dar cenny — zboża...

GŁOSY Z LUDU.

Zboża!... chleba!...

Chleba nam! Rozdać zaraz!

BRUTUS.

O bracia!... czekajcie!...

Dziś senat obradował nad tem, Kajus Marcyusz,
Wielki Koryolan żąda, byście pracowali
Na chleb...

GŁOS Z LUDU.

A on pracuje?

BRUTUS (*z ironią*).

On zarobił sławą —

A zresztą, dać im zboża, mówi, lecz trybunów
Skasować — to ustępstwo dane w chwili buntu,
Niechaj lud nie korzysta z niekarnośći swojej...

Scena III.

(*wchodzi Koryolan drżący z oburzenia*).

KORYOLAN.

Niechaj nie korzystają!! Motłochu nikczemny,
Robactwo wylegnięte na śmieciach miasta,

Kąkol, co w jej ziemi chwastem się rozrasta!...
Trzeba cię plenić (*z coraz większem uniesieniem*).

Ty robaku ziemny,

Co u nóg mych pełzałeś, gdy na twój granicy
Stały szyki zbrojne, Wolsków wojownicy,
Gardziłem twoją trwogą, jak dziś szałem twoim...

SYCYNIUSZ.

Otoczyć go!

GŁOSY Z LUDU.

Zabijmy!...

Pocóż my tu stoim?

Bierzcie go, liktorowie!!

WALERIUSZ.

Bronić senatora!...

Tu do nas, patrycyusze!

AGRYPPA.

Czyż to zwady pora?!

Bracia, obywatele! usnęli Wolskowie?

Wróg pewno na swą korzyść o waśni się dowie,
Niezgoda miasto zgubi!...

KORYOLAN.

Motłoch zgubi Romę!

Pospólstwo rząd ogarnie, podle, nieświadome,
Zrobi z niej swych zachcianek nieszczęsne igrzysko...

(*po chwili*).

O Romo!... niechaj umrę nim spadniesz tak nisko!...

(*Robi się zamieszanie nie do opisania, liktorzy odparci przez senatorów, po nich edyle chcą uprowadzić Koryolana, senatorowie jedni bronią go, drudzy wyciągają ręce do ludu z perswadowacami lub błagalnymi gestami. Koryolan zachowuje się z dumną biernością*).

(*d. c. n.*)

WYCIECZKA NA ŚWIĘTY KRZYŻ.

PRZEZ Stanisława z Warszawy.

Oliarowana siostrze Jadwidze K.

(*Dalszy ciąg*).

W klasztorze zastaliśmy gorącą herbatę i smaczne mięsiwa; prędko się z tem załatwiwszy i po przyjemnej gawędce z Przełożoną i jej towarzyszką o przejeżdżających tędy dość często turystach, zostaliśmy uprzejmie zaproszeni na kolację do ks. kapelana, a następnie na spoczynek w osobno przygotowanym pokoju gościńnym. Za jedno i drugie pięknie podziękowawszy, pożegnaliśmy zarazem gościnne Siostry, gdyż zamiarem naszym było nazajutrz o świcie puścić się w dalszą drogę. U ks. kapelana Bernardyna, który 19 lat już tu przebywa, rozmowa co chwila się urywała, do czego przyczyniało się bardzo znużenie, nasuwające gwałtownie sen na powieki, jak również nieustanny szmer wody tuż za oknami, cośmy z początku wzięli z przerażeniem za krople spadającego deszczu; na szczęście nasze było to źródło, które kropla po kropli sączyło się do kamiennego wyłobienia.

O godzinie 10-jej, poleciwszy się Bogu, legł z nas każdy na miękkim posłaniu; nazajutrz zaś, jak było umówione, o wschodzie słońca, po modlitwie, ruszyliśmy do celu naszej podróży.

Poranek był chmurny, wschód słońca oznajmiała tylko 4 godzina, gdyż jutrzienka nie ukazywała się na ciemnym nieboskłonie, rosa na wszystkim osiadała obficie; otuleni więc w szerokie fałdy płaszców, jadąc już rozgrzewaliśmy się i pokrzepiali zapasami, wziętymi z Kielc dnia wczorajszego. Przed sobą mieliśmy dwie drogi, jedną na m. Słupię, drugą zaś na t. z. linją, czyli przestrzeń z drzew ogołoconą, która idąc w prostym kierunku od Łysicy do Łysiej, stanowi

drogę najbliższą, lecz możliwą do przebycia tylko dla pieszych podróży; z konieczności więc wybraliśmy pierwszą drogą nieco dłuższą, lecz wygodniejszą. Na połowie jej leży miasteczko Bodzantyn, inaczéj Bożęcim zwane; zdaleka już widać olbrzymie ruiny zamku, wystawionego w XIV w. przez Mokrskiego, biskupa krakowskiego, następcę po Bodzancie, fundatorze tego miasteczka.

Wstąpiliśmy do kościoła parafialnego; na zewnątrz bardzo wspaniale wygląda, znać, że to zabytek dawnych czasów, razem z ruinami zamku nie pasuje do obecnej miejsciny. Główny ołtarz sprowadzony jest tutaj z katedry kieleckiej, po wystawieniu tam nowego; nadto zwraca na siebie uwagę prześliczny tryptyk, malowany w guście wschodnim, a przedstawiający ważniejsze chwile z życia Bogarodzicy. W miasteczku z powodu rannéj godziny było jeszcze pusto i głucho, pozamykane okiennice świadczyły o smacznym śnie mieszkańców; gdziekolwiek tylko widać kilku żydków, już od wschodu słońca rozpoczynających swe interesa; nie był to dzień targowy, więc i na dwóch rynkach panowała zupełna spokoju i cisza. Zaraz za Bodzantynem ukazuje się prześliczna panorama gór Świętokrzyskich, ze stojącym na najwyższym szczycie kościołem i klasztorem; szkła nie były już potrzebne, gołem okiem widzieliśmy najdoskonalej, naprzód krzyż, potem wysoką wieżę, wreszcie i dach kościelny. Słońce, jakby się chcąc przyczynić do ogólnej harmonii, wyjrzało z za obłoków i rzuciło snop jasnych promieni, złoćąc święty znak zbawienia; szare chmury jedna za drugą nikły gdzieś w dali, rozpierzchając się na wszystkie świata strony, ich miejsce zajął najczystszy błękit.

I na sercu poweselało, i rozmowa się ożywiła, bo nic już nie stało na przeszkodzie pomyślnemu skutkowi naszej podróży. Kościół Świętokrzyski mieliśmy wciąż przed oczyma, już więc nie zbłądzimy; długo jednak trzeba było jeszcze krążyć, zanim dobiliśmy do podnóża góry. Leży tu miasteczko Słupia, dawniej należące do OO. Benedyktynów, teraz bardzo podupadłe. Wstąpiliśmy do kościoła, chcąc być na Mszy św., nie doczekawszy się jednak i nie mogąc się od nikogo dowiedzieć o czasie jej odprawienia, ruszyliśmy dalej. Zaczęła się droga tak nierówna i kamienista, iż niepodobna było dłużej usiedzieć na bryce, radzi nie radzi poszliśmy dalej pod górę pieszo...

Była to prawdziwa pielgrzymka na Kalwaryę (Calvams czyli Kalwary, po polsku Łysa góra) pot spływał z czoła kroplami, kamienie często usuwały się pod nogami, złudzenia dopełniał jeszcze krzyż, do stóp którego ciągleśmy się piegli, a który od czasu do czasu znikał nam z przed oczu, jak to niestety! zdarza się nieraz i w pielgrzymce życia, kiedy zbłąkani na manowcach i miotani burzą sprzecznych uczuć zbaczamy z prostej drogi, prowadzącej do wspólnego wszystkim celu tj. do Boga; wtedy zniechęcenie i oziębłość ogarniają duszę, głos sumienia mniej działać zaczyna, a świat i zgubne jego pokusy coraz bardziej nęca ku sobie. Biada temu, kto wcześniej się nie spostrzeże i przy pomocy Anioła Stróża swego nie odnajdzie drogi prawdy, dobra i piękna, inaczéj bowiem jak ślepy lub szalony wpadnie w pierwszą lepszą przepaść, wykopaną przez grzech i zatwardiałość serca.

Na tej nowéj Kalwaryi zbudowano jakoby trzy stacye, trzy kapliczki drewniane; nadto po lewéj stronie (idąc od Słupi) stoi figura wykuta z kamienia kwarcowego, przedstawia osobę klęczącą w pokornéj postawie, duchem pobożności przejętą, ze wzrokiem wyteżonym ku Świętokrzyskiemu kościołowi. Ubiór tej postaci składa się z długiej sukni do kostek, płaszcz, którego część w formie kaptura okrywa głowę, lewa ręka w płaszcz obwinięta i na chuście zawieszona; rzeźba w ogóle bardzo prosta i niezmiernie dawna.

Różnorodne podania są o tej kamiennéj postaci: u jednych uchodzi za figurę św. Emeryka, który do założenia klasztoru Łysogórskiego pierwszy dał początek. Inni utrzymują, że wyobraża osobę wyklętą za odstąpienie od wiary chrześcijańskiej; posąg ten miał stać niegdyś na rynku w Słupiu, ztamtąd zaś posuwa się powoli ku szczytowi Łyséj Góry, a skoro tam dojdzie, będzie koniec świata. Deotyma użyła tego podania do znakomitego swego utworu p. t. Tomira.

Lud nazywa tę figurę „statuą pielgrzyma”, mówiąc, że pielgrzym jeden po zwiedzeniu wielu miejsc świętych, wśród umartwień i trudów, zbliżył się nakoniec ku Łyséj Górze. Tu zbiegli się do niego ciekawi i pobożni i z największym uszanowaniem dalej prowadzili. Nagle usłyszano z góry odgłos dzwonów, a nie była to wcale pora dzwonienia. Zdumienie ogarnęło wszystkich i mówili między sobą: „Jakże świętym musi być ten pielgrzym, kiedy aż dzwony same brzmiały ku jego sławie!” A on „Jeszczeby też” rzekł, myśląc zapewne, że większego niż takie godzien uczczenia. Pycha jego ukaraną została, gdyż w teje chwili skamieniał i za pokutę ciągnie się na klęczkach ku Św. Krzyżowi aż do dnia sądnego.

Pomijając wszelkie inne legendy, następująca najwięcej objaśnia szczegóły, na tym posągu widoczne. W czasie bezkrólewia po Kazimierzu W. Lubart i Kiejstut, książęta litewscy, wracając z wycieczki pod Wislicę (1370 r.) kościół Łysogórski obdarli z bogatych sprzętów, a nawet drzewo Krzyża św. zabrali. Atoli gdy na granicach Polski wóz, na którym znajdowała się św. relikwia, stanął, a kto się tylko dotknął świętego drzewa padał martwy na ziemię, gdy zaraza szerzyć się zaczęła między Litwinami, a temu, który naprzód pochwylił cenną relikwią, ręka uschła; wówczas przerażeni temi klęskami nieprzyjaciele, domyśliwszy się wreszcie ich przyczyny, przez tegoż, który zabrał relikwią, napowrót odesłali ją do klasztoru. Poganin za namową brańców chrześcijańskich klęczący udał się z tą częścią Krzyża świętego na miejsce rabunku, tam zdrowie odzyskał i chrzest św. przyjął. Jego to ma przedstawiać ów posąg. W rzeczy samej klęcząca postać pielgrzyma, jego oczy na kościół zwrócone, ręce jakby do gorącej złożone modlitwy, a lewa z nich na chuście zwieszona, wszystko doskonale się zgadza z ową legendą.

Zatrzymawszy się nieco dłużej przy tej starodawnéj postaci, szybciej pieśliśmy się ku górze, aby wynagrodzić czas nie nadarmo stracony. Nareszcie ukazał się przed nami kościół Świętokrzyski, w całej swéj starożytnéj okazałości: dookoła otacza go mur wysoki, za którym zielenią się drzewa, pod sobą ma twardy granit, a nad strzelającą w górę wieżą niebo błękitne. Na miejscu obecnego kościoła, według podania kronikarzy, znajdować się miała najznakomitsza świątynia w pogaństwie żyjących Słowian, zbudowana ku czci troistego bóstwa: Łady, Lelum i Polelum, nadto chowano tutaj popioły umarłych, o czym świadczą znalezione na początku tego wieku urny i popielnice.

Kiedy mianowicie wybudowano na Łyséj Górze kościół i klasztor, niewiadomo, mniej więcéj należy to odnieść do XII w. kiedy sprowadzono z góry Monte Cassino Benedyktynów i tu ich osadzono. Pobożność królów polskich i możnych panów przyczyniła się niemało do prędkiego wzrostu i bogatego uposażenia klasztoru, tak dalece, że w XIII w. służył on za miejsce składu majątków prywatnych. Jako taki, był też niejednokrotnie przez nieprzyjaciół napadany i niszczoney. W 1260 r. Tatarzy, dostawszy się na szczyt góry, wymordowali wszystkich zakonników i klasztor do szczegółu złupili. Po tej strasznój klęsce długo stał dom Boży opuszczony i bezludny, dopiero Bolesław Wstydlivy nowych zakonników z Monte Cassino sprowadził i licznymi przywilejami opatrzył. Król Jagiełło z wielką był czcią dla tego miejsca, przed bitwą pod Grünwaldem długie tutaj modły odprawiał i publiczne czynił pokuty, a gdy Bóg prośbę jego wysłuchał i zesłał mu niebывałe zwycięstwo, wdzięczny Władysław klasztor dobrodziejstwami obsypał. Niemniejszą opieką otaczali go i synowie zwycięzcy Krzyżaków. Kazimierz Jagiellończyk często odwiedzał klasztor Łysogórski i ztąd nawet na wyprawę pruską wyruszył; kiedy zaś w 1459 r. klaszotr cały zgorzał a kościół przytem mocno uszkodzony został, król wraz z kardynałem Zbigniewem Oleśnickim kazał ponaprawiać budowlę, podniósł mury i kościół rozszerzył swoim kosztem. Pożar ten niezmiernie szkody wyrządził nauce, gdyż zniszczył najdawniejsze zabytki rękopiśmienne, których tu wiele przechowywano.

Król Zygmunt III miał też szczególniejsze nabożeństwo do kościoła Świętokrzyskiego; był tutaj kilkakrotnie, modlił się po zwycięstwie Guzowskim, w lat zaś kilka potem przysłał jako „votum” trzy srebrne posągi własnej roboty.

Wczasie częstych napadów szwedzkich w XIII w. klasztor nie mało ucierpiał; za nastąpieniem jednak pokoju wróciły znowu doń zamożność i dostatek, gay nagle w 1777 r. gwałtowny pożar niszczy do szczeru klasztor i opactwo; po trzech godzinach panowania straszego żywiołu, ze wspólnych gmachów zostały rumowiska same i popioły. Zakonnicy zaledwie zdołali ująć z życiem, ocalając tylko Najśw. Sakrament, drzewo Krzyża św. i część biblioteki.

Na dawnem miejscu za staraniem ostatniego opata Jana Nep. Niegolewskiego w 1806 r. stanęła nowa świątynia, mająca dwie szczytowe ściany i wyniosłą wieżę z ciosu, boczne zaś ściany z cegły. Przed tym właśnie świętym gmachem staliśmy obecnie, dostać się jednak do wnętrza nie można było, gdyż był zamknięty. Poszliśmy więc szukać tuższego ks. kapelana.

Gdyśmy weszli na podwórze klasztorne, niespodziewany widok uderzył nasze uszy i oczy. Zamiast ciszy, jaka zwykle panuje w świętych zakątkach, rozlegał się gwar i hałas głosów zmieszanych. Miasto słów modlitwy i rozmyślenia, słychać było wyrazy grubiańskie, szorstkie, gniewne i ordynarne, a nierzadko klątwa lub przekleństwo złowrogo zabrzmiało w powietrzu. Zamiast zakonników w habitach i kapтурach, ujrzelśmy ludzi brudnych, zawalanych cegłą i wapnem, żydów i żołnierzy.

Niestety! od lat już kilkadziesiąt nie masz na Łyséj Górze ani jednego Benedykty. Zakon ten, wielce użyteczny, supremowany został w 1820 r., a klasztor przeznaczono w ostatnich czasach na więzienie dla kryminalistów; teraz właśnie kończono restauracyą, mającą na celu konieczne zmiany w tym razie i całkowite oddzielenie kościoła od dawnego klasztoru. Krużganki więc, łączące te dwa domy modlitwy, zabytek XII wieku (gdyż ocalały w czasie wszystkich pożarów), po których odbywały się uroczyste procesye, padły pod ręką, nie czasu, lecz ludzi dzisiejszych, praktycznych... *)

Nie zastaliśmy ks. kapelana w domu, posłano jednak zaraz po niego. Zanim nadszedł, odczytywaliśmy napis na ścianie, przedzielającej kościół od krużganków, oto treść jego w przekładzie: „Pokój z tobą, przechodniu, wstrzymaj kroki; kto z pośpiechem doby życia dobiega, może iść dalej, ciebie jednak proszę, abyś przystanął. Oto patrz! i zaraz padnij na kolana do modlitwy, bo w tym dole spoczywają wielu osób zgromadzone kości, t. j. od roku 1006 82-ch opatów, 275 przeorów i 1080 zakonników, których miłość Chrystusa pod cień ożywczego krzyża zgromadziła. Szlachetne ich spopielone szczątki, godne jaśnieć blaskiem Świętych, z dawnych grobów wydobyte, po odprawieniu 400-tu Mszy, obecne zgromadzenie Łysogórskie tu pochowało r. p. 1766”.

(d. c. n.)

*) Było to w Sierpniu 1885 r. teraz dawny klasztor mieści w swoich murach kilkaset kryminalistów. (Przyp. Aut.)

Niteczka Aryadny. (Od Kalinki dla Różyczki Morskiej).

W po	kra	ry	wie	śną	tem	ki	tu
n	ych	że	sy	lo	i	łą	zło się
peł	gna	ko	gra	na	ru	tę	dzią
nie	cem	ne	je	bi	nem	czą	mię
sią	gra	bra	sic	szty	nem	czą	sta
ty	ją	ni	w do	i	bur	ro	wień
la	barw	i	świat	i	szma	drze	sy
sy	ni	mie	się	ra	gdem	la	wne

Trójkąt geograficzny (J. P.)

.....
.....
.....
.....
.....

Zapełnić kropki literami, aby odczytać w rzędzie pierwszym, poziomym i ukośnym, to jest z trzech boków trójkąta, nazwę góry, pod Kairem w Afryce. 2 rząd utworzy nazwę miasta na półwyspie pirenejskim. 3 dawniej twierdzy nad Dnieprem. 4 starożytnego miasta na półwyspie apenińskim. 5 rzeki w południowej Francyi. 6 rzeki w Niemczech. 7 spółgłoskę.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 53 go. Prozy i poezyi:

Płyną lata jak fale, wiatr losu je wzdyma,
Płyną fale do brzegu, o brzeg się rozbija
I rozprysnął się bałwan, a po nim nic niema!
Trochę piany, którą się suche piaski myją,
Trochę muszli, i rybek, i bursztynu bryła,
Co się wstydząc przed słońcem, do ziemi zaryła.

Czasem fala o brzegi kiedy się rozbije,
Piany nie pozostawi, nie rzuci bursztynu,
Rozprysnie się o skały, zimny kamień zmyje,
I topielca wyniesie na postrach dla gminu.
Nikt fali nie policzy, fali nie wywróży,
Pogody nie przepowie, nie przepowie burzy,
(J. I. Kraszewski. „Młody Witold”.)

Tajemniczej głoski:

Dodając głoskę k mamy: Orkan — kawka — marka — klin — maska — krok — krata — burka — skwary — kule — komar — Ryksa — rybak — sekret — kara — okno — sumak — maska — kosa — koks — bosak.

TRESC: Doświadczenie fizyczne (z drzew.) — Księga pamiętnych czynów. — Brat ociemniały, powieść Homera Green’a przełożył z angielskiego Henryk Wernic. — Córka Koryolana, obraz historyczny p. Maryą Leonę. — Wycieczka na Ś-ty Krzyż (z drzew.) — Łamigłówni i rozwiązania. **Dodatek:** Panna poprawiona, (z drzew.) wiersz p. M. Ziel. — Z motyką na słońce p. Wu-Eł. — Korallowy kolczyk p. Helenę Bojarską. — Królewiatko p. Kazimierę. — Łamigłównia. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** W imię koleżeństwa, powieść przez Bronisławę Porawską.



PANNA POPRAWIONA.

Stasia, dziewczyneczka miła,
Raz się brzydko namarszczyła;
Tupie nóżką, jak owieczka,
Aż dziwuje się laleczka,
Aż Azorek, choć to zwierzę,
Łapką się za głowę bierze
Ze zdumienia na te dziwy;
A wtem dziaduś już sędziwy,
Nic nie mówiąc, Stasię małą
Stawi tam, gdzie lustro stało:
Spojrzy w lustro panna mała...
I wcale się nie poznała!
Ta dziewczynka namarszczona,
Czy to ona? czy nie ona?
Aż ze wstydem panna mała
Prędko czoło rozmarszczyła,
Dopiero się przekonała,
Że to była Stasia miła!

M. Ziel.

Z MOTYKĄ NA SŁOŃCE.

Było to cztery lata temu; pewnego pięknego poranku, w czasie wakacyj otrzymałem list od mego znajomego i kolegi (jeszcze z czasu zabaw dziecięcych), w którym tenże upraszał mię o przybycie do niego następnego dnia w celu porozumienia się co do projekto-

wanej już oddawna wycieczki do Wilanowa. Nazajutrz pośpieszyłem do Janka (takie było imię mego kolegi) u którego postanowiliśmy (ja, Janek i 12-letnia siostra jego; rodzice udzielili nam zupełnego pełnomocnictwa na tę naradę), że w nadchodzącą niedzielę wyruszymy o 12 w południe na lipcówkę (nie mogę powiedzieć majówkę, gdyż jak wyżej nadmieniałem, było to w czasie wakacyj). Rodzice Janka zgodzili się na to chętnie, a ja otrzymałem pozwolenie moich. Wtem w czasie gawędy ni z tego ni z owego zapytuje Janek ojca: co znaczy „porwał się z motyką na słońce”?

— Wytlómaczyłbym ci znaczenie tego przysłowia, ale nie wiem, czy zrozumiesz; najlepiej to wytłómaczysz sobie sam kiedyś później, znajdzie się pewnie sposobność po temu.

W oznaczoną niedzielę, wcześniej niż było potrzeba, stanąłem u Janka: robiono już pakunki z żywności i znoszono do oczekującej dorożki, lecz jeszcze nie wszystko było gotowe. W pokoju Janka stał na oknie t. z. dziadek Kapucyn, powiadający, jaka będzie pogoda; mianowicie: gdy Kapucyn stoi przy krzyżu, oznacza to pogodę, gdy zaś pozostaje w swjej kapliczce, deszcz *). Otóż Janek, zobaczywszy Kapucyna w kapliczce (a wiecie już, co to oznaczało) wyciągnął go stawiając przed krzyżykiem; ojciec zobaczył tę manipulację synka nierozważnego, lecz nic nie powiedział, uśmiechnął się tylko trochę.

Wyruszyliśmy. Czas był piękny, skwar niezbyt dokuczający, tak, że pogoda zdawała się pomyślnie zapowiadać; lecz cóż powiecie na to: zaledwieśmy wyjechali za rogatki, gdy straszna ulewa, połączona z piorunami, zaskoczyła nas w jednej chwili; mimo zakrytej dorożki, zmokliśmy porządnie, i nie myśląc o dalszej jeździe wróciliśmy niepyszni do domu.

— Otóż to — rzekł po powrocie ojciec do Janka — masz wytłómaczenie swego pytania „z motyką na słońce”, ty rzuciłeś się nie na słońce, lecz na czas, powietrze, chcąc utrzymać pogodę, a przeciw prawom przyrody tak jak przeciw słońcu, i gwiazdom, i deszczom, powstać nie można. Wiadomo to każdemu i tobie także, a jednak, nie zastanawiając się nad swym czynem, popełniłeś niedorzeczność.

Takie miał objaśnienie Janek przysłowia: „z motyką na słońce”.

Wu-El.

KORALOWY KOŁCZYK.

Na kilka dni przed świętami Bożego Narodzenia Brońcia poszła ze służącą do babci z jakimś poleceniem od mamy; załatwiwszy co należało, wracały obie do domu, ale że miały po drodze kupić rodzyneków i migda-

*) Za pomocą żywego srebra. Przyrząd taki dostać można u każdego optyka.

łów, weszły więc do jakiegoś dużego koźzennego sklepu i zażądały towaru. W sklepie pełno było osób, jak to zwykle dzieje się przed świętami: jedni wchodzili, inni wychodzili, pchano się, popychano, trudno było doprosić się czego, aż wreszcie Bronisi udało się docisnąć bliżej, jeszcze raz powtórzyła swoje żądanie i kupiec podał jej towar; wręczywszy go służącej, Bronisia zajęła się odliczeniem pieniędzy, lecz widząc, że jej drobnych nie wystarczy, podała trzyrublowy papierek. Kupiec czemprędzej wydał resztę i zajął się zaraz wydawaniem różnych rzeczy innym kupującym, którzy nań z niecierpliwością oczekiwali. Brońcia i służąca wyszły też natychmiast, obiecując sobie teraz przyspieszyć kroku, aby wynagrodzić czas stracony w sklepie na tak długie oczekiwanie. Gdy już uszły dosyć daleko, Brońcia, która była zawsze myślącą i zastanawiającą się dziewczynką, zatrzymała się nagle i powiedziała służącej, że muszą jeszcze powrócić do tego samego sklepu.

— Czy panienka zapomniała kupić jeszcze czego? — zapytała służąca, nierada z tej nowej zwłoki — toć i gdzieindziej dostaniemy tego samego, jeszcze nie jeden sklep trafi się po drodze.

— Nie, nie, moja Anno, o co innego mi idzie, teraz dopiero spostrzegłam, że kupiec wydał mi o całe dwa złote za dużo, trzeba wrócić i oddać mu jego własność.

— Dałaby sobie panienka pokój — powiedziała Anna — wielkie rzeczy dwa złote, tam bez nich nie zbankrutują.

— Ale ja przecież nie mogę zatrzymywać sobie cudzej własności.

— Przecież panienka sama sobie tych pieniędzy nie wzięła, kupiec się omylił, no, to jego strata.

— E, co też to Anna mówi, to ja mam korzystać z jego pomyłki?

— Nie mówię korzystać — przekładała dalej Anna, która śpiesząc się do domu nie miała chęci wracać — to też może panienka dać te pieniądze jakiemu ubogiemu i koniec.

— Najlepiej jednak oddać temu, do kogo należą — dowodziła znów Bronisia — nie jest to znów tak daleko, aby nie można było wrócić.

— Hh, hm, niedaleko — mruzczała z nieukontentowaniem Anna, idąc za panienką w stronę sklepu — tyle kramu z marną dwuzłotówką, pani gniewać się będzie, żeśmy straciły tyle czasu... już się tam pewnie niecierpliwi, że nas tak długo nie widać.

— Już ja mamę przeproszę za to, a ręczę, że się gniewać nie będzie, skoro wszystko opowiem; abyśmy tylko trafiły do tego sklepu...

— Już ja go poznam, panienko — mówiła udobruchana nieco Anna, widząc, iż Bronisi nie przekona i myśląc tylko o tem, aby znów jak najmniej stracić czasu — pierwszy sklep na lewo, jak skęcimy w tę oto małą uliczkę.

Za chwilę były już w sklepie, ruch cokolwiek się tam zmniejszył, to też kupiec zaraz spostrzegł wchodzące, a zwracając się do Bronisi, powiedział:

— A... panienka wróciła po swoją zgubę; to do-

brze, zaraz oddam, nie trzeba się martwić... — i to mówiąc, szukał czegoś w szufladce.

Brońcia nie wiedziała, co to ma znaczyć, przysła zupełnie po co innego, sądziła też, że kupiec myli się może i bierze ją za inną osobę, nim jednak zdobyła się na wypowiedzenie tego, co miała na myśli, kupiec wyjął śliczny koralowy kolczyk, a podając go zdumionej dziewczynce, dodał:

— Szkoda byłoby takiego klejnociku, dobrze jeszcze, że się zaraz znalazł, miałyby panienka i stratę i zmartwienie; całe szczęście, że zauważyłem, do kogo należy. Trzeba być na drugi raz uważniejszą.

Teraz dopiero zrozumiała Brońcia o co idzie, poznała swój własny kolczyk, którego brakowało w uszku, serdecznie też podziękowała kupcowi, mówiąc, że zupełnie zgubi swój nie zauważyła, przyczem opowiedziała o właściwym celu przybycia.

— A widzi panienka, jak to dobrze być rzetelną i uczciwą; gdyby panienka nie wróciła tu z tą dwuzłotówką, byłby może i przepadł taki ładny kolczyczek, bo nie wiedziałbym, komu go zwrócić, nawet choćbym i ogłosił w jakim piśmie, to ogłoszenie mogłoby nie dojść do rąk właściwych, lub nie być czytane. Za swój oto dobry postępek została panienka zaraz wynagrodzoną.

Bronisia niezmiernie się ucieszyła z tego, co zaszło, o ile mogła najprędzej zdążyć ku domowi. a i Anna wstydziła się swoich poprzednich rad, które teraz za złe i nieuczciwe zaczynała uważać.

Gdy za powrotem do domu Bronisia opowiedziała wszystko mamie, ta uściskała dziewczynkę i pochwaliła za bardzo właściwe postąpienie.

— O! mateczko, czy wiesz, że Anna ciągle mi to odradzała i nawet zła była, gdy postanowiłam wrócić do sklepu.

— Anna mylnie to pojmowała, moje drogie dziecię i nic też dziwnego, nie uczono jej tyle, nie tłómaczono tak, jak tobie, o wszelkich obowiązkach i powinnościach, dobrze się też stało, że pokazałaś jej, jak wypadało postąpić. Bo zarówno młodszym jak i mniżej umięjącym dobry przykład dawać należy.

Helena Bojarska.

KRÓLEWIĄTKO,

przez Kazimierę.

Państwo Mirscy mieli troje dzieci, dwie córeczki, ośmioletnią Wańdzię i o rok młodszą Janinkę, i jednego synka, pięcioletniego Jerusia. Jerus, jako najmłodszy i jedynak, był bardzo pieszczony przez wszystkich, a szczególnie przez dziadziusia, którego był wielkim faworytem. Babcia więcej znów trochę pieściła dziewczynki, mówiąc z uśmiechem, że chłopca trzeba ostrzej trzymać i hartować do życia i trudów. Babcia mówiła, że chłopczyk powinien być wytrzymały na głód i chłód, że powinien być mężny i odważny, a broń Boże nie ma-

Janinka była trochę przekorna, ale, ot tak poprostu dla żartu, gdyż była nadzwyczaj wesoła i żywa. Za to Wańdzia odznaczała się wielką powagą i rozsądkiem.

Dnia jednego, gdy Janinka zajęta była praniem garderoby swych lalek, a miała ich trzy, było więc o czem myśleć, Wańdzia czytała zajmującą książeczkę, weszła mama bardzo smutna, oczy miała łzami napelnione.

Dziewczynki się przelekły, kochały mamusię nad życie i umiały odczuć jój zmartwienie, mimo, że były jeszcze bardzo młodziutkie.

— Maniusiu — zawołała Wańdzia — co się to stało, mama płacze.

— Wielki spotkał nas smutek — rzekła mama, a łzy płynęły po jój twarzy — odebrałam list z Meranu, ciocia Sowińska umarła.

— Ach! Boże — krzyknęła Wańdzia, bo rozumiała dobrze, co to znaczy umrzeć, sama już opłakała maleńkiego braciszka i widziała, jak jak go wynieśli z domu, zakopali w ziemię, i już go nigdy widzieć nie będzie. Pomyslała więc, że i ciocia kochanej już nigdy więcej nie ujrzy, zasłoniła oczki rączkami i zapłakała.

Janinka przyskoczyła do mamy, objęła ją za szyję, a całując i pieszcząc mówiła:

— Nie płacz, mamusiu, nie płacz, ciocia tam dobrze w niebie u Bozi.

— Biedna Ela, już nie ma mamy — rzekła Wańdzia.

— Ela będzie u nas — mówiła mama — pisał wujaszek, że ciocia życzyła sobie, aby się z wami razem chowała, wierząc sercom waszym, że ją kochać będziecie i osładzać jój sieroctwo.

— O tak, mamusiu, dam jój wszystkie moje lalki, aby tylko dwie sobie zostawię — rzekła Janinka.

— Więc dasz jój tylko jedną, nie wszystkie — rzekła Wańdzia — bo masz wszystkich trzy. A kiedy przyjedzie wujaszek? — zapytała matki.

— Najpóźniej za tydzień; jestem pewna, że moje córeczki nie zawiodą nadziei cioci, i że Ela nigdy z waszej przyczyny nie uczuje swego sieroctwa.

— O! mamó — rzekła Wańdzia — przyrzekam ci to, odtąd Elcię jeszcze więcej kochać będę.

Tydzień minął szybko, dziewczynki niecierpliwie wyglądały przybycia kuzynki, o której mówiły ciągle między sobą.

— Dziś Elcia przyjedzie — mówiła Janinka, kładąc świeżą sukienkę lalce, przeznaczonej dla siostrzyczki — Konie już poszły do stacyi, na obiad przyjadą.

— A gdyby też Elcia chciała twojej Niny? — zapytała nagle Wańdzia, patrząc na lalkę — gdyby jój się Fila nie podobała?

— Co, Niny? — rzekła Janka, spoglądając ze strachem na ulubioną lalkę.

A była to istotnie lalka śliczna, miała takie długie warkoczki, zaplecione niebieską wstążką, takie duże szafrowe oczy, a zawsze była wesoła, bo karminowe usteczka uśmiechały się miluchno. Janka bardzo Ninę kochała, pieściła ją niezmiernie, i nigdy a nigdy jój nie łajała, był to jój skarb najdroższy. Najmniej lubiła

Filę, gdyż, jak utrzymywała, Fila była często niegrzeczna, uparta, i strasznie smoliła sukienki. Ada była znów zbyt wielka dama, nie można było bawić się z nią pieścić, krzywiła się zaraz, że jój się gniece świetna toaleta. Adę dostała od dziadziusia na imieniny, bo już to dziadziś lubił ukochanym wnuczętom kupować często zbytkowne podarki.

— A gdyby też Elcia chciała twój Niny? — powtórzyła pytanie Wańdzia.

— Albo Fila brzydka? — zapytała Janinka — patrz, włożyłam jój najpiękniejszą suknię, dam jój nawet koronkową chusteczkę Niny, a w warkocz zaplotłam taką śliczną wstążkę. Czy prawda, że śliczna?

Nie było czasu odpowiedzieć, bo w tej chwili zaturkotało przed gankiem, wszyscy wybiegli na powitanie wujaszka i małej kuzynki.

Nie takie to było powitanie, jak zwykle dawniej, dziś wszyscy płakali, w miejsce radosnych okrzyków dzieci, panowała cisza i łzy. Wujaszek był bardzo smutny, a gdy małą Elę oddawał p. Mirskiej, nie mógł słowa wymówić, tak łzy głosu mu tłumili.

Ela miała lat sześć, była to dziewczynka tak szczupła, blada i mizerna, iż zdawało się, że lada powiew wiatru unieść ją może w powietrze. Dlatego też umierająca matka prosiła, aby się chowała na wsi u siostry, gdzie świeże powietrze i inne warunki mogły wpłynąć zbawiennie na zdrowie i rozwój sił maleńkiej. Pan Sowiński mieszkał w mieście, i matka obawiała się, aby wątła dziecina nie straciła tam reszty sił i zdrowia.

Ela była prześlizcznym dzieckiem, spojrzawszy na nią, trudno było wzroku oderwać od tej drobnej, przezroczystej białości twarzyczki, od czarnych oczu przysłoniętych długą rzęsą. Ciemne włoski wiły się w pierścienie, spadając na ramiona dzieciny. Ubrana w grubą żałobę była smutną i poważną. Stara piastunka, która przyjechała z Elą, musiała wracać do Warszawy, bo jedyna jój córka była bardzo chora, i Ela po kilku dniach bytności ojca, została sama u cioci.

Że wszyscy ją pieścili, dogadzali, ustępowali, o tem i mowy być nie może; jedna Janinka tylko nie mogła się zawsze pogodzić z tą myślą, aby Elcia miała większe prawa, niżeli ona, a że przytem była trochę popędliwą, więc Wańdzia czuwała nieustannie, aby między dziewczynkami nie zaszło jakie nieporozumienie.

Elcia, z natury łagodna, była jednak wymagająca, i jako jedyne dziecko chorej ciągle matki, tak zepsuta pieszczotami i pobbazaniem, że nie pojmowała, aby jój cokolwiek odmówić było można.

(d. c. n.)

Łamigłówa głośkowa (Borówka).

Z. s. D. n. c. p. ...
G. Ż. s. l. o.
J. S. o. i s.
W b. z. i n. ś. k.

Skrzynka do listów.

Oleś D. tak ładnie na swój wiek liścik napisał, że może nie odkładając zostać korepondentem. Pseudonym „Słoneczko” wybory będzie dla małej sostrzyczki, a braciszek niech sobie przędko inny obmyśli.

Wilk ze stepów chersońskich nie sprawdza swego pseudonimu, zamiast chwycić biedne owieczki, on je karmi i odziewa; niechże go Bóg za to błogosławi.

Lobelia może pozostać przy tym ładnym pseudonymie, dotąd go nikt nie wybrał. Mamy nadzieję, że kochana Lobelia będzie stałą i częstą korespondentką „Wieczorów”. Mamie i bratu starszemu serdecznie dziękujemy za pamięć.

Światelko otrzymało nagrodę zasłużoną, gdyż takie tylko są w naszej redakcji rozdawane.

Mewie z nad Bałtyku dziękujemy za wiadomość, że jęj się tak podobał „Bohater Tebański”. Powieść ta wyszła już w osobnej odbitce i przez znawców niezmiernie jest chwalona.

Konradowi Cz. w Piotrowie donosimy, że książeczka „Model Michasia” kosztuje z przesyłką 60 kop.

Mani R. w Kaliszu dziękujemy serdecznie za pamięć, Mamie i rodzeństwu ukłony zasyłamy.

Pszeniczka tak ładnie prosi, że odmówić jęj trudno. N-ra na szczęście się znalazły i wysłano je natychmiast.

Niebieskooka (która dawniej ładniejszy miała pseudonym) może, jako osoba sędziwa, należeć do konkursu, podanego przez Gołąbkę pocztową w Nrze 53 i powtórnie w tegorocznym 1-szym. wszak zadanie nie jest zbyt trudne.

Lis z Mazowsza niech tylko ma troszkę cierpliwości, a ujrzy w druku wszystkie swoje zagadki.

Biruta śliczny wybrała pseudonym i ślicznie się przedstawiła redakcji, niosąc dla ubogich zebrane pilnością po groszu pieniążki. Z radością zaliczamy kochaną Birutę do rzędu stałych korespondentek.

Bławatce z nad Horynia dla braku miejsca musimy w dwóch słowach za serdeczny liścik podziękować. Ofiary wszystkie są zapisywane, lecz nie zawsze natychmiast wydrukować ten spis można.

Dziecię stepów tak ładnie pisze, że śmiało korespondować może z naszą redakcją.

Blondynka z Cieszyna uradowała nas wiadomością, że i na ten rok jeszcze wierną pozostała naszemu Pisemku. Staramy się o to, aby powieści, drukowane w „Wieczorach”, zawsze były równie zajmujące.

Sława może przysłać łamigłówek, byle zechciała czekać cierpliwie na ich umieszczenie.

P. Stebłowskięj w Sławucie Przesyłka żądanych książek nie była zaliczona w przysłanym nam rachunku, jęj koszt wyniósł kop. 60, na prenumeratę zatem pozostało nie rs. 3 lecz rs. 2 kop. 40.

P. Skrzyńskięj we Wradyówce *Lectures Illustrées* zaprenumerowane, lecz kosztuje tylko rs. 2 kop 60 przeto pozostało reszty kop. 20.

P. Ewelinie w Słobodce „Gwiazdka” wysłana.

P. E. Szczotkowskięj w Lucynie Żadnych przesyłek nie można dołączyć na fracht do Wieczorów. Książeczka więc „Nie wypada” posłana osobno kosztuje wraz z przesyłką kop. 45. Na prenumeratę przeto Wieczorów pozostało nie rs. 2 lecz rs. 1 kop. 92.

P. Sobockięj Kalendarza Muchy Rozena nie było, inne wysłane kosztują wraz z przesyłką kop. 90 pozostało więc jeszcze kop. 60. Czy mamy posłać później kalendarz „Muchy”?

P. Dąbrowskiemu Żądane książki wysłano, w miejsce wyczer-

panego już *Kramarza* powiastka *O Rolę*. Wszystko wszakże wraz z przesyłką kosztuje o 10 kop. więcej niż było przysłane.

Do dziewczynek S. Wszystkie przysłane rzeczy wymienione w liście odebrałamy. Przydały się, obdarowani serdecznie za nie wdzięczni.

Kochana Bułeczko z masłem! Bardzo mi się podoba twój pseudonym, gdyż jestem wielkim amatorem takich przysmaczków, jakim ty jesteś. Uczę się w domu przy cioci, i bardzo pracuję, gdyż mam za pół roku zdawać egzamin do pierwszej klasy. Nie uwierzysz, jak go się obawiam. Napisz mi, kochana Bułeczko, jaka powiastka najlepiej ci się podoba w Wieczorach, bo mnie zachwyciła „Karwosia”, i „Podróż naokoło świata” Biały Szczurek.

Kochane Światelko z nad Huczwy! Chociaż cię nie znam, wiem jednak, że nazywasz się Stefcia S., masz jednego braciszka, Kostusia i siostrzyczkę Manię. Ja zaś noszę imię króla polskiego, który wprowadził religię chrześcijańską do Polski. Mam dwie siostry, które razem ze mną uczą się w domu i dwóch braci w gimnazjum. Posyłam ci łamigłówek. Nie zapomnij odpisać Iskierce z cichego kącika.

Kochana Jerzynko z Drewnicy! Znamy się dobrze, zgadnij kto jestem; ofiaruję ci Zadanie konikowe, które ułożyłem wspólnie z Mandarynem Lipao; ciekawym, czy je odgadniesz. Donieś mi co o sobie. Twój Mikado z Titipu.

Kochana Konwalijko! Dziękuję ci za miłutki liścik, sprawił mi dużo przyjemności, i według twego żądania zaraz ci odpisuję. Imię moje nie jest Helena, tylko Henryka. Chciałabym cię kiedy widzieć, przyjdź do Zosi w Niedzielę to i ja tam będę. Odpisz prędko twojej Szczebiotce.

Konwalijce donosi Wajdelotka, że jęj się podobała z dowiecipu a więcej jeszcze z tego, że musi być porządna, skoro listy jęj z taką przyjemnością czytane są w redakcji. Wajdelotka ma lat 12 jest rodem z Warszawy, mieszka w Wilnie u podnóża zamku Jagielly.

Kalinie z nad Niemna donosi Staś 7 letni, który mieszka nad Wilią i uczy się dobrze, iż zadanie jęj konikowe odgadł.

Aksamitce, Skatce z nad Teterowa, Kruszynie i Szaremu Kotowi przesyła pozdrowienia Perełka czarna.

Droga Ruto! List twój sprawił mi wielką przyjemność, tembardziej, że go odebrałam w dniu ukończenia lat dziewięciu. Choć nie uczyłam się jeszcze historii Francji, przypuszczam, że się nazywasz Ludwika, bo wiem, że królów tego imienia było tam najwięcej. Ja noszę imię jednego z najdzielniejszych naszych królów, który panował lat 10. Mieszkam w Hrubieszowie; ciekawa jestem, czy wiesz gdzie takowy leży, bo ja z trudem doszłam, że Lucyn w Witebskiej gubernii. Boję się by list nie był za długi więc kończę całując cię serdecznie. Twoja przyjaciółka „Światelko”.

Kochana Bułanko! Od brata mego Zdzisława dowiedziałam się kto jesteś. Wiem, że się nazywasz Janina B. mieszkasz pod Radomiem. Dla czego sobie obrałaś taki pseudonym? Czy tak lubisz bułane konie? Ściskam cię serdecznie, Niebieskooka.

Dla ubogich na gwiazdkę nadesłali w pieniądzech:

Oleś i Anulka z Ukrainy rs. 2. — Kuropatwa z nad Ikopetiu rs. 1 Wilk ze stepów chersońskich rs. 10. — Polska dziewczeczka, Truskaweczka ananasowa i Białły Szczurek rs. 1. — Światelko Jaskółka i Przepiórka z Rychowa rs. 4. — Konrad Cz. rs. 1. — Mania R. z Kalisza rs. 1. — Dzieci z Wradyjówki rs. 5 kop. 20. — Marynia i Henrysia K. rs. 2. kop. 50. — Staś i Maryjka rs. 2 W. S. K. kop. 50. — Stokrotka z Zofiówki kop. 50. — Sława kop. 14. — Pensyonarki H. C. rs. 1.

Ubrania i zabawki: Sobótka — pensyonarki H. C. Oprócz tego nadeszło kilka paczek z ubraniem bez żadnych kartek, niewiadomym ofiarodawcom dziękujemy w imieniu ubogich dzieci.